

Nowy numer BUca w sam raz na wiosnę!

Przepraszam, czy ktokolwiek tutaj pije?

Towarzyszy nam na imprezach, wypijamy go do posiłku i nierzadko pomaga poznać nowych ludzi – alkohol to używka, po którą sięgamy pod wieloma pretekstami. Jednak od pewnego czasu to abstynencja stała się instagramowym stylem życia i to nie tylko wśród pokolenia Z. Czyżby picie alkoholu oficjalnie stało się *passé*?

Zmiany wywołane pandemią wciąż zbierają swoje żniwo. Czas społecznej izolacji uświadomił wielu osobom, że w ich życiu konieczne są zmiany. Jednak nie wszystkich zadowolili sama zmiana diety i wprowadzenie ćwiczeń – niektórzy postanowili pójść o krok dalej.

Mistrzowie picia

Powiedzieć, że kultura picia jest jedną z największych polskich przywar, to tak samo jak zgodzić się, że woda wrze w 100 stopniach Celsjusza, a po nocy nadchodzi dzień. Alkohol towarzyszy nam od najmłodszych lat naszego życia i jak można się spodziewać, Polska znajduje się w niechlubnej topce europejskich krajów o najniższym wieku inicjacji alkoholowej. W naszym kraju pierwszy kontakt z tą używką następuje między 12 a 13 rokiem życia. Sytuacja w innych państwach Starego Kontynentu nie wydaje się lepsza, ponieważ przeciętny Europejczyk, pierwszego upojenia doświadcza mając 14 lat.

Nikt nie wydaje się być jednak zmartwiony tym faktem – ba, młodzi na TikToku i instagramowych rolkach wręcz nabijają się z amerykańskich rówieśników, którzy ze względu na wyższy legalny wiek spożywania alkoholu (który wynosi 21 lat) uchodzą za świeżaków i „mniej doświadczonych w bojach”. Na filmikach Amerykanie, dopiero zaczynający swoją przygodę z pićciem, są dość przejęci przed degustacją niskoprocentowego trunku – w tym samym czasie ich europejscy rówieśnicy są już po dwóch odwykach i w izbie wytrzeźwień. Owszem, jest to satyra, w dodatku oparta na stereotypach, ale w świetle przytoczonych statystyk dość trafnie odzwierciedla rzeczywistość.

Grzechy główne alkoholu

Z danych pozyskanych w 2016 roku przez organizację RARHA, powołaną przez Unię Europejską w celu redukcji szkodliwych skutków spożywania alkoholu wynika, że pić można na dwa sposoby – często, ale w małych ilościach lub rzadziej, ale za to więcej. Ten drugi model został opanowany do perfekcji przez Polaków, ponieważ to u nas dość często dostarcza się ponad 40 gramów czystego alkoholu u kobiet i 60 gramów u mężczyzn w trakcie jednego dnia picia. A takie ilości wiążą się z większym ryzykiem wystąpienia uzależnienia i konsekwencji zdrowotnych. Dlaczego pomimo tego społeczeństwo wciąż sięga po tę używkę?

O szkodliwych skutkach alkoholu wie każdy – zaczynając od kaca, a kończąc na chorobach układu pokarmowego, nerwowego i alkoholizmie. Z drugiej stro-



Młode pokolenie świadomie rezygnuje z alkoholu

ny kojarzy się on również z przyjemnością i relaksem, który pozwala dopasować się do innych i zapomnieć o problemach. To właśnie te aspekty są główną motywacją, które zachęcają pijących do sięgnięcia po trunka. Inną, kuriozalną wręcz odpowiedzią jest postrzeganie alkoholu jako mającego właściwości prozdrowotne – przeświadczenie, które najprawdopodobniej zostało utarte przez promowanie symbolicznego kieliszka wina do posiłku. Tymczasem, według badań opublikowanych w czasopiśmie medycznym *The Lancet*, już ponad dekadę temu marskość wątroby wywołana pićciem alkoholu była przyczyną około 170 000 zgonów w Europie rocznie – dotyczyło to przede wszystkim Polaków, Niemców, Greków i Francuzów. Jak się okazuje, nie istnieje bezpieczna dawka alkoholu. WHO podaje, że nawet najmniejsza ilość etanolu zwiększa ryzyko zachorowalności na raka. Zatem nawet najlepsze jakościowo wino może przyczynić się do poważnych problemów w przyszłości.

Świadome wybory

Generacja Z i Milleniarsi mogą być pierwszymi pokoleniami, które zmieniają sposób, w jaki patrzymy na alkohol. Od kilku lat stale rośnie liczba młodych osób, które decydują się na ograniczenie spożycia tego typu napojów lub ich całkowite wyeliminowanie. Zresztą mają ku temu kilka dobrych powodów – oprócz opisanych wcześniej konsekwencji zdrowotnych, Gen Z obawiają się innych potencjalnych konsekwencji picia jak utrata samokontroli, nieświadome połknięcie pigułki gwałtu czy perspektywa nagrania ich w stanie nietrzeźwości. I w charakterystycznym dla tego pokolenia stylu, unikanie alkoholu jest kolejną taktyką dbania o zdrowie psychiczne.

Marta, studentka Wydziału Matematyki i Informatyki UAM, zrezygnowała z alkoholu jeszcze zanim miała okazję go spróbować. – Początkowo kierowane było to moimi wartościami i autorytetami w harcerstwie [...], gdzie zwracano dużą uwagę na sprawność ciała i umysłu – wspomina. Choć harcerką już nie jest, od wielu lat pozostaje trzeźwa. – Był taki moment, gdzie w sumie nie wiedziałam, dlaczego dalej się tego trzymam. W sumie to było takie przyzwyczajenie. Od kiedy zaczęłam uczęszczać na taniec i jogę, aktywność fizyczna jest dla mnie bardzo ważna i nie wyobrażam sobie, żeby pić nawet małe ilości alkoholu [...] – mówi. Zauważyła również, że na przestrzeni lat ludzie zaczęli inaczej reagować na jej abstynencję – Ludzie na początku mieli bardzo zmartwione miny, jak im o tym mówiłam – śmieje się. – Teraz myślę, że to się zmieniło i spotykam się z zaciekawieniem – dodaje.

Z kolei Cyprian, rówieśnik Marty, stopniowo dojrzał do decyzji o ograniczeniu alkoholu. – Zaczęło się to w sumie w gimnazjum – każde spotkanie ze znajomymi, później osiemnastki i wyjścia na studia. Za każdym razem wiedziałem, że będę pić. Po jakimś czasie zauważyłem, że czuję się bardzo źle nawet po niewielkiej ilości alkoholu. Potrafiłem dochodzić do siebie przez cały tydzień – wspomina. Pogarszający się stan zdrowia zmusił go do zmiany. – Chciałem wreszcie zadbać o siebie, trochę wkręcić się w sport. Od razu poczułem różnicę. Teraz czuję się o wiele lepiej, a okazjonalnie wypiję może raz na trzy miesiące – dodaje. Na spotkania ze znajomymi zabiera teraz piwa bezalkoholowe.

Abstynencja jest w modzie

Rosnąca popularność abstynencji zauważalna jest też w mediach społecznościowych, a jej głównymi orędownikami są... influencerzy. Bycie „That Girl” to już nie tylko pilates, dbanie o cerę i idealna dieta, ale również świadoma rezygnacja z alkoholu. Choć niektóre rolki z przepisami na mocktails, czyli drinki bezalkoholowe, mogą wydawać się kieczowate, być może jest to trend, który pomoże pozbyć się stygmatyzacji niepijących w społeczeństwie. W końcu bycie trzeźwym jest powszechnie akceptowane, a nie uznawane za nudziarstwo.

Zmiany widać nawet w samej branży alkoholowej – oczywiście piwa lub wina 0% zagościły na sklepowych półkach już dawno temu, ale osobom niepijącym z pewnością nie oferowano tak szerokiego wyboru napojów w pubach. Tymczasem portale internetowe zaczynają tworzyć listy miejsc, które serwują najlepsze drinki bez alkoholu w Warszawie. Ni stąd, ni zowąd dedykowany mocktail bar w stolicy otworzył sam Filip Chajzer, który stwierdził, że zainspirował się modą z Nowego Jorku. Pozostaje jednak pytanie – czy na pewno wszystkie te inicjatywy mają promować trzeźwość? Czy może są po prostu odpowiedzią na potrzeby konsumentów?

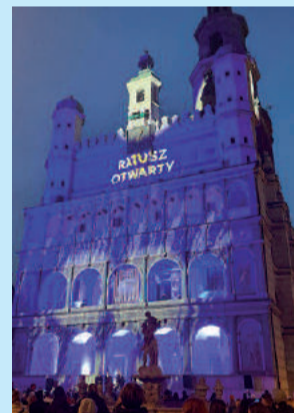
Imiona autorów wypowiedzi zostały zmienione.

Karolina HAŁABIŚ
karhal2@st.amu.edu.pl



Zimowa przemiana
s. 3

Polecamy



Tajemnice
poznańskiego Ratusza
s. 4



Wszystko jest miłością
s. 5



FC Barcelono, quo vadis?
s. 6-7

Od redakcji

Drodzy Czytelnicy!

Sesja zimowa już za nami, mamy nadzieję, że wszystko udało się Wam zaliczyć w pierwszym terminie, i że znaleźliście jeszcze trochę czasu na odpoczynek i zebranie sił na nowy semestr. A ten już trwa w najlepsze i powinien być o tyle łatwiejszy, o ile wchodzimy w cieplejszą porę roku, w której słońce będzie napędzać nas do działania.

W oczekiwaniu na zmianę czasu z zimowego na letni, wykorzystując jeszcze ostatnie długie wieczory redaktorzy BUCa przygotowali teksty do numeru, który właśnie trafił w Wasze ręce. A w nim o zmianach w kulturze picia alkoholu – czy stało się to *passé*? Agnieszka rozważa, jakie znaczenie ma język polski w naszej codzienności, a Ola rozmawia z informatykiem o rozwoju AI, stawiając kluczowe pytanie – szansa czy zagrożenie? Standardowo nie zabrakło tematów kulturalnych – znajdziecie kilka recenzji filmów oscarowych oraz najnowszej Diuny. Dla fanów sportu Filip zastanawia się nad przyszłością FC Barcelony, a Dominik serwuje nam coś z wydziałowego podwórka – wywiad z dyrektorem sportowym najbardziej profesjonalizowanego, amatorskiego klubu piłkarskiego w Poznaniu – „Clickbajt”. Pozostaje mi życzyć Wam przyjemnej lektury i dużo słońca!



Redaktor naczelna
Izabela Tomaszewska

Oblicza polszczyzny. Jak kochamy to, co mamy?

Na co dzień nie skupiamy się na nim zbyt szczególnie. Używamy go w większości powszednich sytuacji: w krótkiej wymianie zdań, w myślach, pisząc i czytając. Jest dla nas czymś oczywistym, bez czego nie możemy się obyć, a czego zarazem nie doceniamy. O czym mowa? O naszym języku ojczystym – trudnym, ale i pięknym języku polskim.

Międzynarodowy Dzień Języka Ojczystego obchodzony jest 21 lutego. Można by zadać sobie pytanie: czy warto być dumnym z posługiwania się językiem polskim? Oczywiście, że tak, i to nawet bardzo. National Geographic wymienia go jako jeden z ośmiu najtrudniejszych języków świata. Powinniśmy więc prezentować go w jak najlepszej postaci. Tak się jednak nie dzieje. Na ogół stosujemy wiele kolokwializmów, nasza mowa i pismo są niezwykle uproszczone.

Poprawnie czy nieprecyzyjnie?

Dzień ten pozwala na pewną refleksję nad kondycją językową współczesnych użytkowników polszczyzny. Szanowany profesor i językoznawca Jerzy Bralczyk w wywiadzie dla onet.pl „Znaki diakrytyczne są nam potrzebne do szczęścia” powiedział: „Uważam, że język polski jest aę i tak powinno zostać. Używajmy polskich znaków za każdym razem, gdy wysyłamy esemes lub mejl”. Mimo że takie jest zdanie specjalisty, mowa potoczna rządzi się swoimi prawami. Tu bardzo łatwo o błędy językowe i logiczne – bywają one świadome lub nie.

Językowe przyzwyczajenia są różne. – Za najważniejszą w języku polskim uważam gramatykę, ponieważ ułatwia komunikację. Dodatkowo lubię i potrafię stosować poprawną interpunkcję i ortografię – przyznała studentka Natalia. Wypowiedź ta świadczy o zrozumieniu tego, o co prosi Bralczyk. – Używanie języka zależy od kontekstu. W wiadomościach z przyjaciółmi nie zwracam uwagi na takie rzeczy i czasem piszę chaotycznie i nie logicznie, aż dziwię się, że rozumieją, co mam na myśli. Jednak w pracy, na zajęciach i w oficjalnych sytuacjach lubię być pewna, że nie popełniam błędów – mówi Zofia.

Można więc dojść do konkluzji, że w formalnych okolicznościach zdajemy sobie sprawę, iż wypada dbać o język, a w relacjach prywatnych wystarczy być komunikatywnym – nie liczy się poprawność, ale zrozumiałość.

Nie ma jednak wątpliwości, że używany poprawnie czy niepoprawnie, język na pewno wzbudza emocje. – Za najpiękniejsze w języku polskim uważam bogactwo



Język ojczysty pozwala nam wyrażać wiele emocji - zarówno w mowie jak i piśmie

two językowe. Dzięki niemu możemy dowolnie wyrażać swoją opinię w trafny dla nas sposób i bez ograniczeń. Mamy możliwość bawić się słowem do woli, na przykład poprzez aluzję, sugestie, gry słowne. Nie wyobrażam sobie posługiwać się na co dzień innym piękniejszym językiem – mówi Jakub. – Lubię posługiwać się językiem polskim, jest to bardzo ciekawy i wyjątkowy język. Kojarzy mi się z Polską, rodziną czy poezją. Ogromnie wpływa on na moje życie przez olbrzymią liczbę słów, dzięki którym nie mam problemu z wyrażaniem siebie. Jest niezaprzeczalnie wart poznania, mimo że bywa trudny – przyznaje Natalia.

Okiem specjalisty

Język polski jest na tyle fascynujący, że niektórzy wybierają go jako przedmiot swoich studiów, badań, nauki. – To niepojęte, ale u mnie z językiem polskim była to miłość od pierwszego wejrzenia. Spełniam się w tym, co robię, i sprawia mi to satysfakcję. I mam szczerą nadzieję, że moi uczniowie to widzą – mówi Sylwia, nauczycielka ze szkoły podstawowej nr 2 w Komornikach. – Nasz język ojczysty niewątpliwie jest zachwycający i pełen wdzięku – dodaje. Czy tak samo postrzega go młodzież? – Język ewoluuje na przestrzeni lat. Gdy słucham moich podopiecznych, czasem słyszę słowa, których nie mogę pojąć. Dzieciaki i młodzież uwielbiają neologizmy, bo to jednoczy ich grupę. Jest to wybitne, dlatego że nie zawsze umieją poprawnie gramatycznie językiem się posługiwać, ale chcą się komunikować, i cieszą się, że to robią. Często tworzą też jakieś memy. Mam również wielu zdolnych uczniów piszących na przykład własne utwory. To niesamowite i sprawia mi radość, że jestem tego świadkiem – dzieli się swoimi obserwacjami Sylwia. Bardzo istotnym jest, abyśmy o język dbali i przekazywali tę wiedzę młodszemu – to w końcu w ich

rękach spoczywa przyszłość zarówno narodu, jak i języka ojczystego.

Najpiękniejsze zastosowanie

Każdy zna chyba to uczucie, gdy po męczącym dniu można zaszyć się w swoim spokojnym miejscu i zanurzyć w lekturze. Nie byłoby to wykonalne, gdyby nie język polski. To dzięki niemu suniemy oczyma po kolejnych wersach tekstu i wciągamy się coraz bardziej i bardziej. Mamy możliwość nie tylko czytać współczesnych autorów, ale także sięgać po klasyki, gdzie znajduje się dużo zakorzenionych w kulturze cytatów, które mogą służyć nam niczym światło latami zagubionym statkom. Jednym z nich jest fragment „Ody do młodości” Adama Mickiewicza: „Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga. Łam, czego rozum nie złamie”. Ma on ważne przesłanie, może działać wręcz motywująco. Ale nie sposób mówić o wieszczu, nie cytując jego piękną frazę z „Pana Tadeusza” na temat miłości, której siła targa wieloma osobami: „Szukałeś wzroku mego, teraz go unikas. Szukałeś rozmów ze mną, dziś uszy zamykasz. Jakby w słowach, we wzroku była jakaś trucizna! Dobrze mi tak, wiedziałam, kto jesteś! Mężczyzna!”. Jakże to wiele i w jakże liryczny sposób świadczy o naszych zdolnościach – język polski jest niesamowitym narzędziem.

Jak powiedział Czesław Miłosz: „język polski jest jak kwiat, który kwitnie na polskiej ziemi”. Nasz język ojczysty dzięki swojemu bogactwu pozwala nam wyrażać siebie, spełniać się, a także poruszać w codziennej rzeczywistości. Stanowi przedmiot zarówno badań, jak i rozrywki. Bywa, że sprawia kłopoty, ale wynagradza je swoimi ogromnymi walorami. W tak wyjątkowym dniu niech obfituje nam w jak najlepsze doznania.

Agnieszka ŁUKASZEWSKA
agnluk7@st.amu.edu.pl

Redaktor miesiąca



Jędrzej Wróblewski

Hej, jestem Jędrzej – redaktor BUCa od października 2023 roku. Kilka słów o sobie? Nieustannie w ruchu, z książką i słuchawkami przy sobie, zanurzony w przeszłości. Prywatnie miłośnik kokosa i marcepanu. W tygodniu, student I roku Dziennikarstwa.



Wydawca
Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu
ISSN 1642-1140
Redakcja
Wydział Nauk Politycznych
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,
pokój 144, 61-614 Poznań
e-mail: teksty.buc@gmail.com

Redaktor naczelna
Izabela Tomaszewska
**Zastępca redaktora
naczelnego**
Wiktor Kępiński
Sekretarz redakcji
Karolina Hałabiś
Numer makietowały
Amelia Ogrodowczyk
Izabela Tomaszewska

Wydawca numeru
Izabela Tomaszewska
Redakcja merytoryczna:
Karolina Szymczak
Jakub Marciński
Dominik Janicki
Wiktor Kępiński
PR i Social Media
Karolina Hałabiś
Dominik Janicki
Karolina Szymczak

Hanna Yankouskaya
Wiktor Konieczna
Korekta
Daria Bajorek
Paulina Cichoszewska
Wiktor Duda
Izabela Tomaszewska
Redakcja
Daria Bajorek
Natalia Borodkina

Bartosz Chałupka
Benita Dolniak
Karolina Gołaszewska
Weronika Grochalska
Karolina Hałabiś
Dominik Janicki
Dominika Jerzak
Bartosz Kabaciński
Mateusz Kalmuk
Wiktor Kępiński

Bartłomiej Kolano
Michał Kubisiak
Kamil Kwiatkowski
Agnieszka Łukaszevska
Magdalena Maciejewska
Bartosz Maluśki
Agata Mania
Jakub Marciński
Mateusz Markiewicz

Olga Michalska
Aleksandra Mierzwa
Amelia Ogrodowczyk
Michał Rzeźnik
Wiktor Sianko
Milena Spiralska
Vera Sudnik
Emilia Szobodzińska
Karolina Szymczak

Filip Szymkowiak
Emilia Świtalska
Izabela Tomaszewska
Anastasiya Trafimuk
Anna Wielgocka
Jędrzej Wróblewski
Michał Wybrański
Autor logo
Andrzej Szymczak

Opieka nad redakcją
Aleksandra Konieczna
Skład komputerowy
Tomasz Szukała
Druk
Drukarnia w Bydgoszczy
ul. Grunwaldzka 229
85-438 Bydgoszcz
Redakcja zastrzega sobie prawo
do redagowania i skracania
nadesłanych tekstów.

Nostalgia to słowo, które idealnie zdaje się opisywać obecną kulturę. Nie sposób nie zauważyć tęsknoty za dawnymi czasami, przejawiającej się chociażby w powrotach mody z lat 80. i 90. W ten trend wpisuje się także najnowszy film Alexandra Payne'a pod tytułem „Przesilenie zimowe”, nawiązujący do lat 70.

Najświeższa produkcja amerykańskiego reżysera, mającego na swoim koncie takie tytuły jak „Bezdroża”, „Spadkobiercy” czy „Nebraska”, jest próbą powrotu do pewnego starego stylu filmowego. Przejawia się on nie tylko w kostiumach oraz użyciu klimatycznych czołówek i napisów, ale także nieco wolniejszym opowiedzeniu historii, w której duże znaczenie mają dialogi. Szkoda tylko, że film, którego akcja dzieje się w Boże Narodzenie, trafił do naszych kin w okresie karnawału (w USA premiera kinowa odbyła się 27 października, natomiast w Polsce – 26 stycznia).

Trójkątni nieszczęśliwych ludzi

Jak już zostało wspomniane, David Hemingson osadził scenariusz w okresie świątecznym na przelomie roku 1970–1971. Główny bohater filmu to nauczyciel historii klasycznej Paul Hunham (Paul Giamatti), uczący w elitarniej szkole z internatem – Barton Academy. Ze względu na swoją surowość oraz kurczowe trzymanie się zasad jest niepopularny nie tylko przez swoich uczniów, ale także kolegów z pracy. Hunham dostaje w tym czasie specjalne zadanie: musi zaopiekować się grupą uczniów, którzy nie mogli wrócić na święta do domów. Ostatecznie pod jego opieką pozostaje tylko będący u progu dorosłości Angus Tully (Dominic Sessa). Chłopak mierzy się z rozpadem własnej rodziny oraz groźbą pójścia do akademii wojskowej, jeśli nie skończy Barton. Nauczycielowi i uczniowi towarzyszy czarnoskóra szefowa kuchni Mary Lamb (Da'Vine Joy Randolph), oplakująca śmierć syna, który niedawno zginął na wojnie w Wietnamie.

Wspólnie spędzone święta okazują się dla trójki bohaterów szansą na lepsze poznanie siebie nawzajem, ale także okazją do zmierzenia się ze skomplikowaną przeszłością. Oprócz tego Angus oraz Paul, mimo początkowej niechęci oraz problemów ze zrozumieniem się, nawiązują nową więź, która może być dla nich obu zaskakująca.

Zimowa przemiana



Fabula „Przesilenia zimowego” skupia się na relacji między Angusem (z lewej) i Paulem (z prawej)

Lata 70. w pełni

Film Alexandra Payne'a oddaje klimat żywcem wyjęty z dekady, w której się rozgrywa. Niewprawiony widz mógłby nawet uwierzyć, że film został wtedy nakręcony – użycie starego formatu 1.66:1, prostych napisów w czołówce oraz na końcu, szybkich zbliżeń i powolnego zanikania obrazu, dającego poczucie wolnego upływu czasu, a także klimatycznych plansz studia filmowego oraz obrazu z widocznym ziarnieniem potęguje wrażenie sytuacji, w której ktoś po prostu znalazł na strychu starą taśmę filmową z nieodkrytym filmem i teraz nam go pokazuje. Odczucie to umacnia wykorzystanie popularnych w ówczesnym czasie piosenek oraz zmiksowanie dźwięku w mono, dzięki czemu uzyskany został efekt stłumienia oraz pewnego braku klarowności.

Film stoi na wysokim poziomie również dzięki aktorom. Paul Giamatti w roli Hunhama wypada znakomicie – udało mu się stworzyć postać nauczyciela, który przełamuje swoje własne bariery, aby pomóc rozwinąć się pozostałym bohaterom. Nic dziwnego więc, że dostał on nominację do Oscara za najlepszą rolę męską. Bardzo dobrze poradził sobie też debiutujący Dominic Sessa. Rola Angusa może być dla niego przepustką do wielkiej kariery. Doskonale operuje on mimiką, intonacją oraz zachowaniem, dzięki czemu jego postać zapada w pamięć. Również Mary w wykonaniu Da'Vine Joy Randolph wyszła świetnie, a wątek jej postaci, która mimo własnego bólu nie przestaje mie-

żyć się z codziennością, jest nie tylko wiarygodnie napisany, ale także dobrze zagrany.

Oscarowy czarny koń?

„Przesilenie zimowe” okazało się niespodzianką tegorocznych Oscarów. Produkcja otrzymała łącznie pięć nominacji w następujących kategoriach: Najlepszy film, Najlepszy aktor pierwszoplanowy, Najlepsza aktorka drugoplanowa, Najlepszy scenariusz oryginalny oraz Najlepszy montaż. Mimo tego filmowi Alexandra Payne'a może być trudno rywalizować o zwycięstwa w głównych kategoriach, gdzie nominowani są faworyci, tacy jak „Oppenheimer”, „Biedne istoty” czy „Barbie”. Większe szanse ma on na statuetkę za scenariusz bądź montaż, choć w tej drugiej kategorii ponownie „Przesilenie zimowe” zmierzy się z tegorocznymi faworytami.

„Przesilenie zimowe” jest bardzo dobrym filmem, który niesie ze sobą ciepło oraz wizualny urok i styl starych produkcji. Genialny tekstowo i dający pole do popisu aktorom komediodramat bez happy endu stanowi idealną odtrutkę na przesłodzone komedie świąteczne, co rok katowane w kinach i telewizji. To też okazja do powrotu do tradycji filmów około akademickich i licealnych. Chcesz obejrzeć nową produkcję w stylu „Stowarzyszenia umarłych poetów”? Obejrzyj „Przesilenie zimowe”, nie zawiedziesz się.

Bartosz KABACIŃSKI
barkab1@st.amu.edu.pl

Chłód atakuje Poznań

Prześledzić ich drogę od początku i powiedzieć, kim naprawdę są, to niełatwe zadanie. Jedyne informacje, które można uznać za wiarygodne, znajdują się na ich stronie w sieci. Nie ma tego dużo, a samo dotarcie do źródła może nastreczyć kłopotów. Zespół Wieże Fabryk rozpoczął działalność w 2000 roku w Łodzi. Już w trakcie pierwszych prób zrodziła się koncepcja szorstkich aranżacji w stylu coldwave, która rychło została zaakceptowana przez członków i stała się ich wizytówką.

Co rusz pojawiają się głosy sceptyków mówiące o śmierci muzyki rockowej. Giganci sceny panujący niepodzielnie od lat i wyparcie fizycznych nośników przez platformy streamingowe nie tworzą dogodnych warunków dla niszowych artystów. Poprzeczkę postawiono wysoko. Sytuacja nie przeraża jednak muzyków. Radzą sobie przyzwyczajeni w nowej rzeczywistości. Adaptują się nieustannie. Świadczyć może o tym fakt, że dalej tworzą i decydują się na granie na żywo.

Argumentem przemawiającym na rzecz wspomnianej żywotności może być album „Doskonały świat”. Został on wydany 1 kwietnia poprzedniego roku. Jeżeli to żart z okazji Prima Aprilis, należy mu oddać, że jest bardzo udany. Pół godziny melancholijnych tekstów zapętłonych w trakcie trwania utworów. Bliżej im do skandowania niż do śpiewania. Każde słowo w akompaniamencie surowego grania, które dodatkowo potęguje poczucie przybicia. To gwóźdź do trumny dobrego samopoczucia słuchacza. Z tym dojmującym przesłaniem grupa rusza w Polskę.

Na ulicy Nowowiejskiego

W centrum Poznania znajduje się kamienica nieróżniącą się od pozostałych sąsiadujących z nią. Taka myśl rodzi się po obejrzeniu jej z zewnątrz. Po przekroczeniu progu trafia się do mi-

krówiata niedostępnego z poziomu ulicy – do tonącego w półmroku wnętrza o butelkowych ścianach obwieszonych wiekowymi bibelotami.

Piątkowy wieczór 23 lutego został zarezerwowany dla dwóch wykonawców. Oprócz Wież Fabryk zaprezentowała się również formacja Pink Turns Blue. Kombinacja, stworzona przez organizatorów, okazała się trafiona w punkt, biorąc pod uwagę liczbę zainteresowanych. Nieduża sala na pierwszym piętrze wypełniła się pokaznym tłumem ludzi. Kolejka na wąskiej klatce schodowej, wszechobecny ścisk i duchota nie odstraszyły widzów. Sprowokowały w niej żywe podniecenie, które eksplodowało przy pierwszych dźwiękach muzyki.

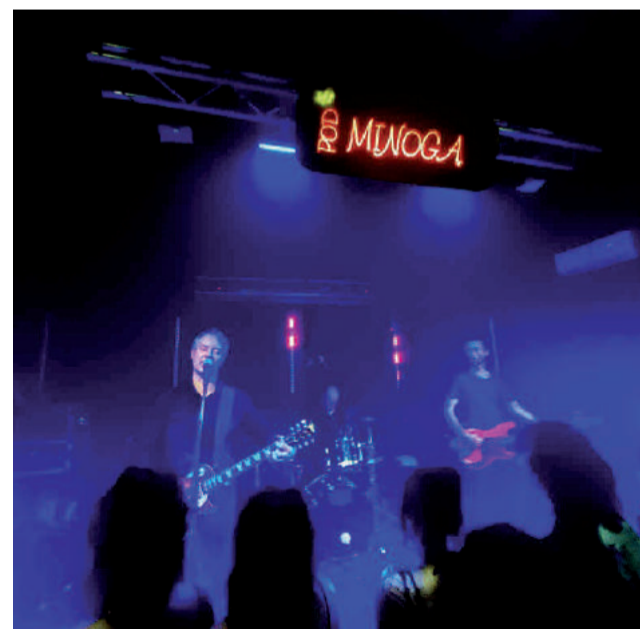
Obcesowy żywioł

Po scenie krząta się kilka osób. Ostatnia chwila na sprawdzenie sprzętu, któremu nigdy nie można ufać. Tło dla biegawiny stanowią czarno-białe materiały wyświetlane na ścianie. Sekwencje kilkunastosekundowych filmów następują po sobie w cyklu. Przedstawiają na przemian paskudny, miniony i niegościnnie świat.

Zespół zaczyna występ z opóźnieniem około piętnastu minut. Nie słychać żadnych uwag czy zażaleń. Dźwięki są przepełnione chłodem. Od samego początku sprawiają, że fani kostnieją. Pierwsze usta nieśmiało otwierają się i zaczynają wykrzykiwać pojedyncze hasła. Nie trzeba było długo czekać na przełamanie lodu. Energia przesyłana od grających budzi tłum. W przerywanym, niebieskim świetle widać niewielki krąg. Rusza się, przeobraża, obraca. Wchłania kolejnych chętnych. Szaleńczy tupot dziesiątek nóg słyhać i czuć. Sufit pod parkietem musiał tego wieczoru drzeć.

Gwóźdź programu

Na przygotowany teren wkroczył zespół Pink Turns Blue. Grupa rodem ze stolicy Niemiec obraca się od połowy lat 80. w gotyckich klimatach. Prezentują bardziej wyważony, sentymentalny i romantyczny materiał w porównaniu z supportem.



Pink Turns Blue jest na scenie od prawie 40 lat

Wolniejsze tempo nie obniżyło jednak tętna fanów. Pojawienie się muzyków spotkało się z gromkim aplauzem.

Przez kolejne półtorej godziny zza kotary mgły docierało spokojne, rockowe granie. Leniwe wokale dodawały głębi doświadczeniu. Senne kołysanie przyklejonych do siebie postaci zmieniło się kilka razy w zwłame płasy w momentach, gdy instrumenty dawały jasny znak o swojej drapieżności.

– Przednia zabawa. Dwa świetne zespoły, żaden nie odstawał od drugiego. Pogo było na pół sali, i to przez niemal cały koncert. Do tego jeszcze Pink Turns Blue zagrało dwa bisy, a po imprezie można było zagadać do członków obu kapeli – tak koncert podsumował jeden z uczestników. Będzie to na pewno niezapomniany na długo występ, gdy muzyka obu zespołów rozgrała widownię w ociekający deszczem wieczór.

Jędrzej WRÓBLEWSKI
jedwro1@st.amu.edu.pl

Tajemnice poznańskiego Ratusza

O tym, że Poznań to miasto doznań, każdy wie. Od jakiegoś czasu w internecie można znaleźć magnesy z napisem „Rozkopane”. Wszystko przez to, że poznański rynek od wielu lat był po prostu rozkopany. Trwające remonty nawierzchni przeciągały się, utrudniając przy tym zwiedzanie czy swobodne przemieszczanie się. Po wielu trudach rynek otworzono przed Bożym Narodzeniem 2023 roku. Mimo to cały czas można spotkać tam miejsca, w których remont trwa. Na szczęście nie jest już to tak uciążliwe, jak było wcześniej. Wraz z otwarciem nowego rynku otworzyły się też podziemia ratusza.

Mało kto wie, że pod poznańskim ratuszem znajdują się jego podziemia, co więcej, można je zwiedzać. Taką możliwość mamy od marca 2024, wcześniej przez dwadzieścia pięć lat były one niedostępne dla turystów. Warto skorzystać z takiej możliwości i zobaczyć, jakie przygody i tajemnice kryje poznański ratusz.

Perełki Poznania

W Poznaniu, jak zresztą w każdym większym mieście w Polsce, znajdują się piękne zabytki. Pierwszym z nich jest Ostrów Tumski, na którym to mieści się przepiękna katedra, a kawałek dalej Interaktywne Muzeum Historii Ostrowa Tumskiego. Warto zwrócić również uwagę na Zamek Cesarski, który podczas II wojny światowej był siedzibą Hitlera. Najbardziej znaną atrakcją jest poznańskie Stare Miasto. Spacerując w stronę Starego Rynku, znajdziemy Farę, która jest jedną z najokazalszych budowli sakralnych w Polsce.

Punktem kulminacyjnym jest oczywiście Stary Rynek z pięknymi kolorowymi kamieniczkami, który przyciąga fotografów i malarzy z całej Polski. Idąc rynkiem, napotkamy ciekawe fontanny, które zostały stworzone na podobieństwo mitologicznych postaci: Marsa, Jowisza, Neptuna i Apollina. Każda z nich znajduje się w jednym z czterech rogów. Jeśli już o Starym Rynku mowa, należy zwrócić uwagę na piękny ratusz. O 12 w południe poznańskie koziołki przy akompaniamencie hejnału trykają się dwanaście razy rogami, po czym warto wybrać się do środka ratusza i zwiedzić zarówno jego wnętrze, jak i podziemia.

Kiedy myślimy o miejscach wartych odwiedzenia w Pradze, z pewnością jako pierwsze przychodzą nam do głowy katedry, Most Karola lub twierdza Wyszehrad. Jednak oprócz imponujących budowli możemy znaleźć tam atrakcję, która zachwyci bardziej wymagającego turystę – mowa o wystawie „Mucha, Dalí, Warhol” przygotowanej przez Central Gallery.

Jak wskazuje tytuł wystawy, została ona poświęcona pracom trzech XX-wiecznych artystów. Mieści się w samym sercu Pragi, na trzech piętrach zabytkowej kamienicy. Choć wybór twórców może wydawać się przypadkowy, każdy z nich jest w jakiś sposób powiązany z Czechami, na co zwrócono szczególną uwagę. To przekrój trzech różnych stylów, życiorysów i dzieł, znanych i podziwianych na całym świecie.

Podróż przez fotografie

Pierwsze piętro galerii zajmuje Salvador Dalí. Prace hiszpańskiego artysty zostały uszeregowane tak, aby odwiedzający mógł obserwować kolejne fazy jego twórczości, poczynając od tych najbardziej rozpoznawalnych, jak „Płonąca żyrafa” czy „Trwałość pamięci”. W następnej sali znajduje się sztuka komercyjna tworzona przez malarza na zamówienie, na przykład znane wszystkim logo lizaków Chupa Chups lub zaprojektowane przez niego butelki perfum. Możemy także obejrzeć reklamy, w których występował Dalí, żądając dziesięciu tysięcy dolarów za każdą minutę materiału. Ciekawym elementem wystawy są rysunki zawarte przez artystę w książce kucharskiej napisanej razem z żoną, jego żoną i inspiracją. Przedstawiają one potrawy w nietypowych konfiguracjach i sprzęty kuchenne, a wszystko to w niedającym się pomylić z innym, niesamowitym surrealizmie Dalego.

Jednak przedmiotem tej części wystawy nie jest twórczość tylko jednego artysty. Na końcu znajdziemy zdjęcia przedstawiające Salvadora Dalego w pewnym paryskim hotelu. Wykonał je czeski fotograf Václav Chochola w 1969 roku. Te fotografie szybko stały się jednymi z najważniejszych dzieł Czecha. Ukazują one malarza w wytwornych kostiumach, z wytrzeszczonymi oczami i z zabawnie

Nie taki ratusz oczywisty

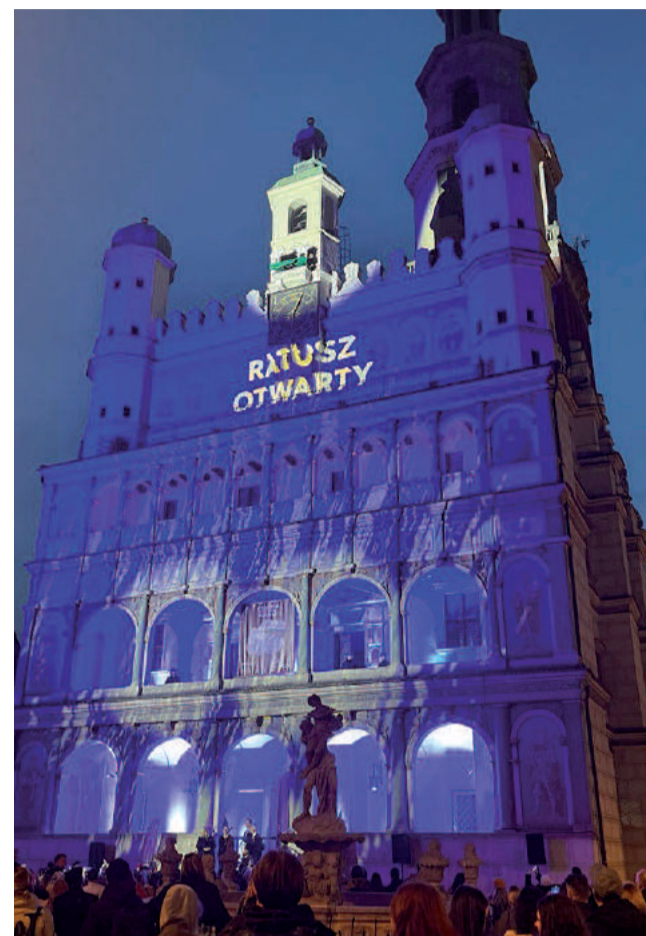
Dla większości społeczeństwa poznański Ratusz to tylko bryła, rozpoznawalny element wielkopolskiej architektury. Nie takie oczywiste jest, że kryje się w nim przepiękne muzeum. Znajdują się tam niesamowite średniowieczne komnaty i korytarze. Turyści rozpoczynają zwiedzanie od loży sądowej, w której to uprawnione osoby kontrolowały pracę kata. Tuż obok mieściła się sala tortur. Oprócz tego od marca po ponad dwudziestu pięciu latach turyści mogą zwiedzać podziemia ratusza, gdzie poznają historię Poznania od X aż do połowy XVI wieku. Będzie można tam zobaczyć historię średniowiecznego Poznania, poznać architekturę, życie codzienne oraz historię herbu.

Drugą równie ciekawą wystawą poświęconą jest zmianom, jakie przechodził ratusz od początku istnienia, a klimatu dodają stare gotyckie piwnice. Szczególnym miejscem nowo otwartej części Ratusza jest Magazyn Studyjny. Znajdujące się tam ekspozycje ukazują bardziej współczesną historię miasta i jego mieszkańców. Na koniec zwiedzania istnieje możliwość zrobienia sobie zdjęcia z ponadstuletnimi koziołkami. Nic, tylko zwiedzać!

Wielkie otwarcie

Uroczyste otwarcie poznańskiego Ratusza i jego podziemi miało miejsce 1 marca. Przy pięknej iluminacji świetlnej ratusza pojawiły się koziołki, które trykały się aż osiemnaście razy. Wszyscy zebrani zaangażowali się i wspólnie odliczali każde tryknięcie. Następnie zabrzmiał hejnał w wykonaniu trzech trębaczy. Była to niepowtarzalna okazja, aby zobaczyć, kto na co dzień gra hejnał, gdyż w zwyczajne dni odbywa się on na wysokiej wieży. Do Ratusza turystów zapraszali aktorzy przebrani w średniowieczne stroje, nastąpiło też symboliczne otwarcie muzeum przez prezydenta, po którym zwiedzający ruszyli do wnętrza budynku. Zainteresowanie było tak duże, że pierwsi zwiedzający musieli czekać prawie godzinę na swoją kolej. Nie ma się co dziwić, skoro piwnice można było zwiedzać pierwszy raz od dwudziestu pięciu lat. Dodatkowo bonusem były bilety w bardzo okazjnych cenach.

Z okazji otwarcia podziemi powstała wystawa, która nosi nazwę „Poznań przed Quadra”, czyli przed przybyciem architekta Jana Baptysty di Quadro i przed renesansową przebudową miasta. To właśnie tę wystawę ukazującą historię Poznania od X do XVI wieku mogą podziwiać turyści. Aby uczcić otwarcie, można



Iluminacja świetlna w dniu otwarcia

było przez cały weekend oglądać trykanie się koziołków aż o trzech różnych godzinach. Remont i przygotowanie ekspozycji kosztowało 7,7 miliona złotych, był to więc naprawdę spory koszt, jednak bardzo dobrze spożytkowany. Twórcy podkreślają, że na razie otwierają piwnice i parter, ale to dopiero początek.

Milena SPIRALSKA
milspi@st.amu.edu.pl

Praskie atelier

podkreconymi wąsami, czyli w jego naturalnej formie, która bardziej przypomina postać z bajki niż prawdziwego człowieka.

W paryskim teatrze

Na kolejnym piętrze znajdziemy dzieła jednego z czołowych czeskich artystów, który ma nawet swoje własne muzeum w Pradze – Alfonsa Muchy. Grafik i przedstawiciel secesji zasłynął dzięki plakatom reklamującym paryskie przedstawienia teatralne. Wystawa, tak jak w przypadku Dalego, podzielona została na kilka segmentów: rozpoczynając od zdjęć modelek pozujących artyście i stworzonych na tej podstawie dzieł, przez serię obrazów przedstawiających głównie młode kobiety otoczone motywami roślinnymi, aż do jego najsłynniejszych prac, takich jak „Medea” i „Gismonda”.



Rzeźby w wykonaniu Salvadora Dalí

Twórczość Muchy miała także aspekt komercyjny – zaprojektował on znaczki i banknoty czeskosłowackie, robił grafiki, które można było znaleźć na pocztówkach, a także afisze reklamowe.

Analizując jego twórczość, należy zwrócić uwagę nie tylko na estetykę i szczegółowość prac, ale także na technikę, którą zostały wykonane, oraz ich rozmiar. Mucha większość swoich dzieł tworzył za pomocą litografii, polegającej na odbijaniu gotowego obrazu z kamiennej płyty, co pozwala na ich zwielokrotnianie. Przeciętny stworzony przez niego plakat teatralny miał długość ponad dwóch metrów.

Z twarzą Marilyn Monroe

Ostatni artysta, którego dzieła prezentowane są w galerii, to Andy Warhol. Ten mający słowackie korzenie twórca jest znany z seryjnych prac przedstawiających przedmioty codziennego użytku, jak chociażby puszka z zupą firmy Campbell, czy też portretów znanych osobistości, w tym chyba najbardziej rozpoznawalna seria z Marilyn Monroe. Tematyka podejmowana przez Warhola była odbiciem jego poglądów na sztukę – chciał ją produkować masowo, „jak maszyna”.

Warhol współpracował z wieloma muzykami, między innymi z zespołem The Velvet Underground, dla którego zaprojektował okładkę ich pierwszego albumu. Przez pewien czas działał także z The Rolling Stones oraz Johnem Lennonem. Stworzył własne czasopismo plotkarskie „Interview”, zajmujące się do dziś światem show-biznesu. Był on niezwykle płodnym artystą poruszającym się w wielu dziedzinach. Gdyby nie przedwczesna śmierć, to z pewnością moglibyśmy teraz oglądać znacznie więcej jego prac.

Po wyjściu z kamienicy dopada nas zaduma – tak oto znowu znajdujemy się w pędzącym i głośnieym świecie, oślepiam nas blask słońca prześwitującego między budynkami. Przeszliśmy właśnie przez życie trzech osób, trzech artystów. Ludzi, którzy zazwyczaj sprowadzani są do nazwiska w encyklopedii lub obrazka w internecie. Prace, których nie da się nie znać, powielane są w setkach tysięcy egzemplarzy. Ale ta wystawa nie zamknęła Muchy, Daliego i Warhola w stworzonych przez nich przedmiotach, a właściwie pozwoliła im na chwilę powrócić, przekazać swoje dziedzictwo.

Amelia OGRÓDOWCZYK
ameogr@st.amu.edu.pl

Brytyjsko-irlandzka grupa rockowa IDLES powraca z nowym materiałem – płytą długogrającą o zastanawiającej nazwie „Tangk”. W czasie 40 minut trwania albumu słowo „miłość” pada aż 29 razy. U IDLES wszystko może być miłością, ale nie zawsze o oczywistym brzmieniu.

Za produkcję krążka odpowiada eklektyczne trio producenckie – Nigel Godrich (mający na koncie między innymi „OK Computer” oraz „Kid A” od Radiohead), Kenny Beats (producent albumu IDLES „Crawler” z 2021 roku) oraz Mark Bowen (główny gitarzysta zespołu). Owocem współpracy z Jamesem Murphym i Nancy Wang z LCD Soundsystem jest z kolei utwór „Dancer”. „Tangk”, wymawiane jako „Tank” z nutą „g” na końcu, to onomatopeja, która ma odzwierciedlać charakterystyczne dla grupy brzmienie gitar.

Z dała od punku

Słowa lidera zespołu Joe Talbota: „we’re not a f...ing punk band!”, wykrzywane podczas jednego z koncertów, niewątpliwie znajdują potwierdzenie na „Tangk”. Nie dlatego, że w muzyce IDLES nie słychać wpływów punka, ale ze względu na to, że nie są one głównym komponentem płyty. Spoiwem i inspiracją dla Talbota ponownie okazała się... miłość. „W czasie pisania tego albumu byłem dość zagubiony”, powiedział Apple Music. „Mój system nerwowy potrzebował uporządkowania, więc to zrobiłem. [...] Zdałem sobie sprawę, że potrzebowałem w życiu miłości i czasami gubiłem swoją narrację w sztuce – a miłość jest wszystkim, o czym kiedykolwiek śpiewałem”. Jak na IDLES przystało, album dostarcza solidnej dawki cięższych i intensywnych brzmień. Zespół ponownie udowadnia, że i taka muzyka odnajduje swoje miejsce w miłosnej tematyce. Ponownie cytując Talbota – „wszystko jest miłością”.

(Nie)spodziewane wybory

Już początek albumu trochę zbija z tropu. „IDEA 01” otwiera płytę spokojnym wokalem z lekko gorączkowymi klawiszami w tle. Okazuje się, że razem z „Monolith”, znajdującym się na

Wszystko jest miłością



Oktadka najnowszego albumu IDLES

ostatniej pozycji, przemyślanie spinają całość, zamykając największe eksperymenty w samym środku. Niemniej jednak saksofonowe outro „Monolith” samo w sobie jest zaskakujące i nietypowe jak na IDLES. Prowokuje pytanie – skoro „Tangk” kończą w ten sposób, to jak rozpoczną kolejne wydanie? Z eksperymentalnego centrum szczególnie wybija się „Roy” – jego poprzedzające refren gitary przywodzą na myśl westerny lub któryś z filmów Tarantino.

Aranżacja „Dancer” z udziałem LCD Soundsystem jest fenomenalna – utwór rozpoczyna szybkie smyczkowe intro, dynamicznie zastępowane przez pełne napięcia dźwięki gitar i perkusji, dołącza wokół Talbota, a refren to szalona wisienka na torcie z chórkami Jamesa Murphy’ego i Nancy Wang,

przełamująca powagę kawałka. „Hall & Oates” to z kolei gwarantowany hit koncertowy, przemawiający do wieloletnich fanów zespołu. „Gratitude”, a szczególnie jego intro, ma zabarwienie kojarzące się z twórczością brytyjskiego duetu Royal Blood, natomiast w instrumentalnych partiach „A Gospel” słychać specyfikę brzmienia Son Lux. W pamięci niezmiennie zostają przede wszystkim dźwięki gitar oraz śpiew, recytacje i krzyki Joe Talbota. Na „Tangk” IDLES momentami zostawiają soniczną agresję poza utworami, czego niezwykłym efektem są „IDEA 01”, „A Gospel”, „Grace” i „Monolith”. Kiedy jednak po nią sięgają, czynią to niezwykle umiętnie.

Zespół polityczny?

Słowa: „F... the king, he ain’t the king, she’s the king”, padają już w kawałku „Gift Horse”, na początku albumu. Nie trudno odnaleźć wersy komentujące sytuację polityczną w twórczości IDLES – i to nie tylko na „Tangk”. W efekcie grupa otrzymała łatkę zespołu politycznego, choć dla samych członków jest to raczej redukcjonizm i uproszczenie. „Zawsze interesowało mnie pisanie o empatii i współnoci, jako o narzędziach do walki z faszystowskim rządem, pod którym się znajdujemy. Nie postrzegam tego jako polityki. To dla mnie ludzkie” – komentuje Joe Talbot w lutym wywiadzie dla „Guardiana”. Do politycznej łatki odniósł się w wywiadzie także gitarzysta i producent Mark Bowen. Poglądy polityczne IDLES stanowią część integralną tego, kim są jako ludzie – dlatego obce pozostaje dla nich stwierdzenie, że coś w ich twórczości nie jest polityczne. Można więc powiedzieć, że tematy, które zawsze znajdują odzwierciedlenie w muzyce IDLES pochodzą poniekąd z przeciwnych biegunów – miłości i polityki.

„Tangk” to jedenastoutworowy dowód na to, że IDLES nie tylko nie są „polityczną” czy „punkową kapelą”, ale przede wszystkim stanowią grupę na tyle dojrzałą muzycznie, że nie boją się z brzmieniem eksperymentować.

Daria BAJOREK
darbaj@st.amu.edu.pl

Dom z dala od zgiełku i ciekawskich oczu. Śnieg pokrywający francuskie wzniesienia, którego temperatura nie dorównuje chłodowi towarzyszącemu rozpadającej się na oczach widza rodzinie. Martwe ciało ojca, którego położenie stawia pytanie: „Czy to zrobiła”? Przyjrzyjmy się kilku powodom, dla których warto obejrzeć, a co ważniejsze – przemyśleć nominowaną do Oscarów „Anatomie upadku”.

Co stanowi wyznacznik dobrze prowadzonego suspense? W przypadku „Anatomii upadku” czynników budujących niepokój oraz zaintrygowanie widza jest wiele. Myśląc indukcyjnie, zaczniemy jednak od uwagi, z jaką reżyserka oddaje istotę i wagę każdego dowodu czynów, świadectwa... właściwie czego? Odpowiedź na to pytanie jest tropem ku rozumieniu geniuszu „Anatomii upadku”. Reżyserka wodzi widza za nos, chcąc, aby wydał wyrok, a po jego usłyszeniu zastanowił się raz jeszcze, co było najważniejsze: rozwiązanie zagadki czy ukazanie procesów, dziejących się w umysłowych salach sądowych każdego z członków rodziny.

Film zaczyna się od rozmowy dwóch kobiet przy kieliszkach wina – nieco przekornej, przyprowadzonej intelektualną pikantnią, której jawność wzbudza lawinę kolejnych wydarzeń. Do prowadzi do czynu, którego kodeksowa klasyfikacja stanowi zagadkę trapiącą w dalszym ciągu historii obrońcę Sandry, Vincenta, oraz prokuratora. Gra toczy się wyraziście na kanwie komunikatów niewerbalnych, kadrów i doskonale ujawnianych szczegółów. Zastanawiająca nieobecność zazdrosnego męża w pierwszych kadrach, ujawnianie relacji między matką a synem w detalach, mocne, wbijające

Anatomia prawdy zależnej

w siedzenie przejścia jak to, gdy biegli zeznają przed sądem. Wszystkie kawałki układanki, pokazywane najpierw dość lakonicznie, subtelnie, bez wytłumaczenia, z czasem stają się ważne i nieprzypadkowe.

Ta trzecia – samotność

Akcja filmu, osadzona w głośnym od zagluszanych słów domu na wyżynach, jest przestrzenią rozgrywania się dramatu rodziny dwójki pisarzy, których zaciętym ambicjom i oddalającej emocjonalnie bliskości (jedynie?) intelektualnej, towarzyszy ciężka, gęstniejąca samotność. Przed ujawnieniem najistotniejszych, poruszających dowodów na sali sądowej, widz nie zostaje wtajemniczony w rutynę i codzienność partnerów. Domysły i słowa podejrzaną stanowią jedyne źródło wiedzy. Od samego początku produkcji, zdana na siebie Sandra, nie jest w kontakcie z ukochanym. Jest

sama i w rozmowie z przeprowadzającą wywiad studentką ujawnia swoją niespełnioną potrzebę bliskości.

Metaforyczne wręcz pochodzenie obojga artystów z dwóch innych krajów, podkreśla ich niezdolność do zdrowej komunikacji. Rozwijający się na ekranach proces jest nie tylko pytaniem o rozwiązanie prawniczego kazusu. Jest także pytaniem o to, gdzie, wśród godzenia ambicji z obowiązkami, porażki z nadzieją, miłowania z bezprzemocowym wyrażaniem złości, zaczyna gubić się miłość? Kiedy tracimy uczucia wobec konkurencji i zazdrości? Odsłanianie stopniowo przez twórców filmu trudne prawdy o wygasającej fascynacji i uwielbieniu, nie pozostawiają złudzenia, że nawarstwienie żalów i niedomówień głównych bohaterów, może być doskonałym portretem wręcz cywilizacyjnego problemu bezbrzeżnego, społecznego osamotnienia i niezrozumienia.



Przywołując marketingowe motto filmu: „Czy to zrobiła?” Jak uważacie? (

Dzieci i ryby głosu nie mają

Dobrze zaprezentować męczarnie, jakimi dla dziecka są rozprawy sądowe – a co dopiero te, dotyczące utraty rodzica – to nie lada sztuka. Triet robi to jednak w sposób powalający, pokazując zarówno to, co przed procesem, w jego trakcie, jak i po. Nie pozostawiając przestrzeni na domniemanie i nierealność czy wesołość tam, gdzie wielu młodych spotyka się z przemocą systemową. Dzieciom wytyka się niezamierzone błędy, lekkie odpowiedzi czy niewiedzę. Oglądając, w mojej głowie widniało wiele medialnych spraw, w których dzieci nie były traktowane z uwagą i (troskliwą) sprawiedliwością przez organy państwowe.

Kolejnym walorem, któremu warto przyglądać się w trakcie każdego seansu „Anatomii upadku”, jest zatem wrażliwość na emocje oraz wagę dobrostanu każdego bohatera, każdego członka rodziny. Bez hierarchizacji i komentarza. Dotyczy to także najbardziej adorowanego bohatera filmu, którym jest we własnej osobie... a raczej istotcie, Snoop, pies rodziny, który również cierpi i zostaje wręcz uprzedmiotowiony w celu udowodnienia ludzkiej prawdy. Działania i nieuważność dorosłych bohaterów na własnego syna i psa również jawią się jako doniosły komentarz dotyczący społecznie powszechnych problemów.

O „Anatomii upadku” można by napisać jeszcze kilkadziesiąt stron rzetelnego opracowania. Wydaje się jednak najważniejsze, aby spojrzeć uważnie na subtelność wymowy oraz brutalność szczerzego komentarza rzeczywistości, który proponuje reżyserka. Niczym Bergman nie boi się pokazywać intymnych, ciężkotravnnych odcieni miłości i relacji. Nie obawiając się bezpośredniości i igrania z widzem, zadaje nam pytanie o to, czy my sami poddajemy autonomii nasz sposób myślenia oraz stosunek do najbliższych.

Karolina GOŁASZEWSKA
kargol7@st.amu.edu.pl

Lisan al Gaib współczesnego kina

Adaptacje wielkich dzieł literackich to twardy orzech do zgryzienia. Choć współczesne kino stoi licznymi obrazami opartymi na książkowych pierwowzorach, to ich liczba nie idzie w parze z jakością. Szczególnie gdy materiałem źródłowym jest opowieść tak złożona, jak „Diuna” Franka Herberta. A jednak już pierwsza część ekranizacji pod reżyserską batutą zaprawionego w kinie sci-fi Denisa Villeneuve’a rozbudziła olbrzymie nadzieje. Czy część druga im sprostała?

Jeśli ostatnich kilkadziesiąt dni nie spędziście w piwnicy, to zapewne wiecie już, że nie tyle im sprostała, co wręcz jej przerosła. Współczesna kultura przyzwyczaiła nas, że „z dużej chmury – mały deszcz” to powiedzenie nad wyraz aktualne i często używane w przypadku tak wyczekiwanych filmów. W przypadku „Diuny: Części drugiej” chmura rzeczywistości była ogromna, ale i ulewa jest potężna – jakkolwiek taka wodna metafora jest nie na miejscu w stosunku do świata Diuny.

Ziemia obiecana

Przez niemal cały film wędrujemy przez pustynie Arrakis i rzadko opuszczamy ten krajobraz. Tak jak w przypadku pierwszej części, spory fragment akcji rozgrywał się w zurbanizowanym środowisku stolicy planety – Arrakinie – tak tutaj sercem całej opowieści jest przestrzeń dzika oraz skrajnie nieprzyjazna dla kogokolwiek spoza rdzennych Fremenów. Sama w sobie podróż przez złoża drogiej przyprawy jest jednym z najważniejszych elementów całego filmu, a sama planeta, dzięki swojemu klimatowi i niesamowicie majestatycznym zdjęciom, odgrywa istotną rolę.

Do fabuły filmu wkraczamy właściwie w momencie, w którym opuściliśmy bohaterów na koniec części pierwszej, choć nieznaczny wpływ czasu jest zauważalny. Sam wstęp opowiadany z perspektywy córki Imperatora stanowi jeszcze swoiste résumé wcześniejszych wydarzeń, jednak po chwili jesteśmy już w środku akcji, która swoją kulminację osiągnie w finale. I to właśnie sam finał – jego rozmach i wykonanie przerosły moje, i tak już olbrzymie, oczekiwania. Villeneuve nie bawi się w półśrodki.

Nim jednak dojdzie do finału, to Paul przyjmie wśród Fremenów swoje nowe imię, co stanie się punktem wyjścia dla jego nie tylko fizycznej wędrowki, ale przede wszystkim wewnętrznej przemiany, która ma doprowadzić go do zostania fremeńskim mesjaszem – Lisanem al Gaibem. Nie do ukrycia jest fakt, że druga „Diuna” to w przeważającej części kino drogi – nie tylko dla młodego Atrydy, ale także dla Fremenów w poszukiwaniu swojego Zielonego Raju. Na tej ścieżce oczywiście mnóstwo jest fajerwerków, ale za nimi kryje się stonowana historia duchowej przemiany i skrajnie humanistyczna opowieść, przedstawiona z kunsztem i delikatnością nietypowymi dla blockbusterów.

Klub osiągnął szczyt swoich możliwości. Trzeba przyznać, że przy danych zasobach piłkarskich i perspektywach klubowych, trener Hernández Xavi wycisnął z drużyny to, co najlepsze. Mowa oczywiście o FC Barcelonie. Zbliża się jednak czas, w którym kibice zaczną bić na alarm i dopytywać, jakie są jej rzeczywiste plany na przyszłość. Działacze, z prezesem Joanem Laportą na czele, zdają się bowiem skupiać na krótkoterminowych celach, nie oferując przy tym szans na rozwój.

Na boisku sprawy nie mają się aż tak źle. Co prawda FC Barcelona przegrała kluczowe mecze i odpadła z Pucharu Króla i Superpucharu, ale w lidze zbliżyła się do drugiej w tabeli Girony oraz umocniła przewagę nad Atlético. Kibiców smuci jednak utrata punktów w spotkaniach, w których Blaugrana była zdecydowanym faworytem. Sromotna porażka z Villarrealem i remis z Granadą mogą stać się decydujące w finalnym układzie tabeli. Na horyzoncie jawi się również dwumecz w Lidze Mistrzów przeciwko Napoli. Ewentualny awans byłby dla Barcelony nie tylko okazją do świętowania, lecz także dodatkowymi wpływami do klubowego portfela obciążonego długami przez ostatnie lata.

Demokracja po katalońsku

W połowie marca minie trzeci rok sprawowania urzędu prezesa FC Barcelony przez Joana Laportę. W tym czasie udało się przywrócić trofea do klubowej gąbłoty. Zdobyte mistrzostwo, Superpuchar i Puchar Króla pozytywnie wpłynęły na śro-

Niczym jazda na czerwiu

Denis Villeneuve i współopowiedzialny za scenariusz Jon Spaihts przekładają obawy ludzkości lat 60. XX wieku, które Frank Herbert tak skrętnie zawarł w swoim literackim opus magnum, na wszelkie lęki trawiące również naszą współczesność. Do, znajdujących wyraz już w pierwszej części filmu, wątków kolonializmu czy katastrofy naturalnej dochodzi tutaj strach przed nieuniknioną wojną, nuklearną zagładą, ludobójstwem czy wielkimi wodzami i ich, często zgubnym, autorytetem. Wszystko to podszyte jest politycznym knowaniem i złożonymi układami, które są nieodłączną częścią uniwersum „Diuny”.

O kunszcie scenopisarskim powyższego duetu niech świadczy fakt, że choć fabuła mknie do przodu jak szalona, to historia nie rozwadnia się choćby na moment. Zabójcze tempo, znacznie przyspieszone względem pierwszego filmu, jest moim największym zarzutem względem sequela. Wiele osób narzekalo na powolny rozwój akcji w obrazie z 2021 roku, lecz dla mnie wydawał się on wręcz perfekcyjnie skrojony dla tej opowieści. W części drugiej rzadko mamy czas na oddech, co oczywiście przyczynia się do tego, że niemal trzy godziny filmu mijają błyskawicznie, lecz brakuje tu momentów zatrzymania. W tym szaleńczym pędzie jednak tym bardziej należy docenić, że do scenariusza nie wkrada się chaos – w niejednych rękach takie połączenie rozerwałoby scenariusz na strzępy.

Potęga (kinowego) proroctwa

Jeśli ktoś obawiał się, że ścielący się gęsto w pierwszej części trup pozabawi nas wspaniałych aktorów, to obawy te pryskają szybciej niż piasek nad czerwiami. Plejada gwiazd gra właściwie bez cienia fałszu i prawdopodobnie zabrakłoby mi miejsca, aby wspomnieć ich wszystkich. Dużą większą rolę niż w pierwszej części odgrywa z pewnością Javier Bardem jako przywódca fremeńskiej sycy i jest to jeden z najlepszych aktorów w filmie. On oraz Zendaya jako Shani kreują dwie postaci będące liderami kompletnie różnych frakcji wśród plemienia – religijnych fanatyków i kwestionujących proroctwa buntowników. Generuje to jeden z ciekawszych konfliktów na przestrzeni całego filmu.

Doskonali jest Austin Butler w roli psychotycznego, nieobliczalnego i żądnego władzy Feyd-Rauthy Harkonnena, którego kreacja momentami czerpie z legendarnego Heatha Ledgera w „Mrocznym Rycerzu”. Będąc ciut na marginesie opowieści, dalej fantastyczny wkład aktorski mają Josh Brolin oraz Dave Bautista. Jeszcze większego znaczenia nabrała Lady Jessica, matka Paula, która po cichu wydaje się być wręcz najważniejszą postacią sequela. Sam Timothée Chalamet natomiast wreszcie miał szansę objawić się w roli Paula Atrydy jako prawdziwie godny wszelkich laurów, bo i potencjał aktorski jego postaci w części drugiej jest znacznie większy.

Jeśli widzieliście pierwszą „Diunę”, to możecie spodziewać się podobnego kunsztu artystycznego pod względem technicznym. Oświetlenie niektórych scen jest niezmiernie, a operatorsko każda scena ma odpowiednio zarysowany charakter – czy to eksplozywna scena bit-



„Chwała wojownikom”... i chwała takim filmom jak „Diuna”

wy, czy intymne momenty pomiędzy Paulem i Shani. Będąc już przy tej relacji, trzeba zauważyć, że mimo iż jest ona jednym z kluczowych elementów filmu, brakuje jej nieco chemii. Podobnie jak brakuje więcej miejsca, aby Shani mogła zaznaczyć swoje, bądź co bądź kluczowe, znaczenie dla przemiany protagonisty.

Te drobne uchybienia nie mogą jednak przysłonić faktu, że druga „Diuna” jest bliska arcydziełu. Jeśli ktoś po pierwszym filmie wątpił, że Denis Villeneuve jest odpowiednim reżyserem, by zmierzyć się z tą literacką legendą, powinien czym prędzej sprawdzić sequel. Pozostałych zachęcać raczej nie muszę. Jeśli potencjalna trzecia część utrzyma zwykłą tendencję, to za kilka lat sagę Villeneuve’a śmiało będziemy mogli zestawiać z „Władcą Pierścieni”, co powinno stanowić najlepszą rekomendację dla drugiej „Diuny”. Na ten moment musi wystarczyć jej tytuł nowego mesjasza współczesnego kina, którym już została obwołana. A i to samo w sobie jest nie najgorszą referencją.

Wiktor KĘPIŃSKI
wikkep@st.amu.edu.pl

FC Barcelono, quo vadis?

dowisko kibicowskie. To kluczowy aspekt w tak specyficznym organizmie jak Duma Katalonii. System „socio”, gwarantujący drużynie niezależność od pieniędzy szejków, obejmuje zarazem wszystkie pluse i minusy klubowej demokracji.

Można więc zauważyć, że, wraz ze zbliżającymi się wyborami w 2026 roku, Joan Laporta podejmuje coraz bardziej zachowawcze decyzje – boi się zaryzykować. Nadal nie znamy bowiem następcy Xavięgo, który zapowiedział odejście z zespołu po zakończeniu sezonu. Profil kolejnego trenera na pewno wpłynie na FC Barcelonę w nadchodzących latach. Ponieważ długi nie pozwalają na stworzenie finansowego Eldorado, najważniejszym aspektem kuszącym nowych zawodników jest wizja obfitej w sukcesy przyszłości. Zresztą Laporta musi postarać się nie tylko ściągać wzmocnienia, lecz także przedłużyć kontrakty piłkarzom z trzonu klubu. W 2026 roku z drużyną na zasadzie wolnego zawodnika będą mogli pożegnać się Frenkie de Jong, Ronald Araujo, Pedri czy też Gavi.

Skoro finansowe argumenty nie leżą po stronie zespołu ze stolicy Katalonii, muszą oni zachęcić piłkarzy innymi argumentami takimi jak osiągnięcia sportowe. Takie cele może zagwarantować tylko charyzmatyczny i doświadczony trener. Menadżer zdolny do zmotywowania i przygotowania drużyny do największych poświęceń. Jürgen Klopp? Karuzela trenerska powiększa się z miesiąca na miesiąc, kolejni szkoleniowcy zostają ogłoszeni jako zwolnieni lub dobrowolnie kończący swoją przygodę w danym klubie wraz z zakończeniem sezonu. Jedno jest pewne: następny sezon zadecyduje o przyszłości FC Barcelony.

Terapia szokowa

Chaos na boisku, dziury w budżecie, problemy wizerunkowe, a w skrócie: pożar zespołu. Wówczas prosto z Kataru na ratunek klubowi przylatuje jego legenda. Najpierw jako strażak, później – nauczyciel, obecnie pełni funkcję trenera. Xavi obejmuje stery w drużynie z klarownym zadaniem – nie dać jej upaść. Z FC Barceloną dopiero co pożegnał się Leo Messi. Kadra składała się wówczas z młodych, nastoletnich zawodników i takich, będących u schyłku swojej kariery.

Hiszpański szkoleniowiec sprawdził się w roli strażaka wśmianicie. Przejściowy sezon 2020/21 zakończył na trzecim miejscu. Wówczas rozpoczął się etap Xavięgo-nauczyciela. Z powodu braku pieniędzy w klubowej kasie, menadżer czerpał pełnymi garściami z katalońskiej szkoły młodzieży. FC Barcelona przeżyła wtedy terapię szokową. Wymiana pokoleniowa nigdy wcześniej, w żadnej drużynie, nie przeszła tak dynamicznie. O boiskowych losach zespołu decydowali piłkarze poniżej dwudziestego roku życia. Rok 2022 klub zakończył na drugim miejscu w La Liga z wyraźną stratą względem Realu i niewielką przewagą nad Atlético. Ponad wynikami stał jednak rozwój, który miał zaowocować w następnych latach.

Mistrzowski sezon 2022/23 przypieczętował sukces Xavięgo. Zespół grał tak, jak na początku postanowił sobie szkoleniowiec. Wszystko zgodnie z planem. Wzmocnienie środka obrony, transfer skrzydłowego i ściągnięcie gwiazdy światowego formatu, Roberta Lewandowskiego, dopełniło to, czego brakowało wcześniej. Poza tym trzon zbudowany był na wypro-

Problem niekontrolowanego rozwoju sztucznej inteligencji dotyka niemalże każdą działalność człowieka, także sferę zawodową. Zwłaszcza branża IT na naszych oczach przechodzi drastyczną transformację. O tym, czy zawód informatyka przeobraża się w przyszłościowej posady w jedną z najbardziej zagrożonych karier, opowie nam doświadczony programista, Piotr Bujna.

Pracujesz w branży IT, jednak czym dokładnie się zajmujesz?

Jestem programistą z pięcioletnim doświadczeniem, programującym od około dziesięciu lat. Aktualnie pracuję w amerykańskiej firmie BOLD na stanowisku Front-end Engineer, gdzie rozwijamy aplikację, która umożliwia użytkownikom łatwo i szybko wygenerować swoje CV. Od samego początku swojej kariery pracuję zdalnie, pojawiając się w biurze raz na jakiś czas przy okazji integracji.

Czy sztuczna inteligencja jest wykorzystywana w twojej pracy? Jeśli tak, jakie konkretnie programy oraz w jakim celu?

Oczywiście, sztuczna inteligencja odgrywa istotną rolę w usprawnieniu naszej pracy, gdzie wykorzystujemy narzędzie GitHub Copilot. To swoisty „współpilot” dla programistów. Wyobraź sobie, że masz do czynienia z inteligentnym asystentem, będącym świetnym programistą i zawsze stojącym po drugiej stronie klawiatury, w pełnej gotowości do pomocy. To właśnie Copilot. Działa na zasadzie sztucznej inteligencji, potrafiącej, na podstawie tysięcy linii kodu, które widziała, generować sugestie w czasie rzeczywistym, w zależności od tego, co właśnie piszesz. To jakby mieć mistrza programowania zawsze przy sobie, gotowego do podpowiedzi czy nawet do napisania fragmentu kodu za ciebie. Trzeba jednak pamiętać, że Copilot jest narzędziem wspomagającym – nie zastępuje on w pełni pracy programisty, ale zdecydowanie przyspiesza i ułatwia proces tworzenia oprogramowania.

Czy Copilot jest waszym długoletnim „pomocnikiem”?

Nie korzystaliśmy z niego od samego początku jego powstania ze względu na wątpliwości ze strony działu prawnego. Polegały one na tym, że z opisu działania tego narzędzia wynikało, że kod może być przechowywany na serwerach twórców. To niebezpieczne, chociażby z uwagi na możliwość kradzieży naszych rozwiązań. Sytuacja zmieniła się po kilku miesiącach, kiedy to Microsoft wydał jasne oświadczenie, że analizowany kod nie jest zapisywany poza urządzeniem użytkownika.

A Chat GPT? Usprawnia waszą pracę?

Ostatnio wydaliśmy pierwszą funkcjonalność związaną bezpośrednio z Chatem GPT. Rozwiązanie to polega na tym, że użyt-

Człowiek (nie) rozumny?



Sztuczna inteligencja znajduje się w fazie szybkiego rozwoju

kownik może uruchomić swojego wirtualnego asystenta rozmowy rekrutacyjnej. Działa to tak, że osoba uzupełnia swoje dane na temat stanowiska, wybiera CV do analizy pod kątem jej doświadczenia, a następnie wkleja opis oferty pracy, na którą chciałaby aplikować. Na podstawie tych informacji generujemy pytania, a użytkownik na nie odpowiada. Może on także poprosić o wskazówki, pytając o nie asystenta.

Jak wyglądał proces tworzenia asystenta?

Kilka miesięcy przed powstaniem tego rozwiązania firma zorganizowała hackathon (konkurs kodowania), który wymagał od uczestników napisania programów opartych na Chacie GPT. Jak się okazało, to właśnie mój pomysł został wybrany jako najlepszy ze wszystkich zaprezentowanych, co przełożyło się na zaimplementowanie oraz udostępnienie użytkownikom naszej aplikacji.

Czy zauważyłeś zmiany w funkcjonowaniu firmy wraz z rozwojem sztucznej inteligencji?

Z ostatnich badań przeprowadzonych na użytkownikach naszej aplikacji wynika, że implementacja wirtualnego asystenta rozmowy rekrutacyjnej przełożyła się na to, iż ponad dwadzieścia procent więcej osób korzystających ze strony zostaje z nami dłużej. To oznacza, że subskrypcje, które mają wykupione, przynoszą naszej firmie o wiele wyższe zyski.

Czy zauważyłeś zmiany w twojej pracy oraz indywidualnym wkładzie wraz z rozwojem sztucznej inteligencji?

Jeśli chodzi o wpływ tych zmian, uważam, że jest on głównie pozytywny. Zastosowanie narzędzia GitHub Copilot znacznie

przyspiesza cały proces pisania kodu, przede wszystkim tam, gdzie jego pisanie staje się żmudne i powtarzalne.

Chat GPT staje się coraz bardziej dopracowany oraz nastawiony na samodzielną naukę. Uważasz, że AI będzie sojusznikiem czy rywalem na rynku pracy?

Sztuczna inteligencja to kolejny temat, z którym my, jako programiści, powinniśmy być na bieżąco. Wymaga to od nas poświęcenia dodatkowych godzin poza pracą, a co za tym idzie: przestajemy być kategoryzowani jako słaby/dobry programista i zaczynamy – jako programista, który nauczył się korzystać z AI, oraz taki, który nie poświęcił na to wystarczającej ilości czasu. Wydaje mi się, że może jeszcze nie teraz, ale w najbliższej przyszłości wiedza ta będzie egzekwowana. Rynek IT znacząco się zmieni, a to wygeneruje dużo zwolnień ze względu na szeroką optymalizację pracy. Zresztą to się już dzieje w innych dziedzinach.

Sztuczna inteligencja i informatyk będą nierozłącznymi „elementami” czy niezależnymi od siebie podmiotami?

Pisanie kodu straci popularność na rzecz jego generowania. Z pewnością będzie to wymagało od nas, programistów, wypracowania umiejętności pozwalającej nam na generowanie opisów implementacji, które będą jasne i zrozumiałe dla AI. Uważam, że sztuczna inteligencja mocno namiesza na rynku pracy w IT i „tylko ludzie wystarczająco szaleni, by myśleć, że mogą zmienić świat”, będą tymi, którym uda się na tym rynku utrzymać.

Jak widzisz przyszłość branży IT? Mówi się, że człowiek oraz jego pomysły zawsze i wszędzie będą potrzebne. Czy to dotyczy też programistów, grafików oraz wszystkich innych osób pracujących z komputerem?

Postęp technologiczny będzie niezmiennie dynamiczny. To sektor, który stale ewoluuje, wytwarzając nowe możliwości oraz wyzwania. Istotne jest jednak zrozumienie, że technologia sama w sobie nie wystarczy. Ludzki wkład w postaci pomysłów, kreatywności i umiejętności pozostanie zawsze kluczowy. To prawda, że rozwój sztucznej inteligencji zmienia niektóre aspekty pracy w IT, ale nadal potrzebujemy ludzi, którzy tę technologię projektują, rozwijają i dostosowują do różnych wymagań. Programiści, graficy i inni specjaliści od komputerów nie tylko tworzą kod, ale także przynoszą do pracy swoją wyjątkową perspektywę i kreatywność, a one są niezastąpione w procesie innowacji. Rola człowieka w branży IT pozostanie niezmiennie istotna, a zrozumienie technologii w kontekście ludzkich potrzeb będzie kluczem do sukcesu.

rozmawiała Aleksandra MIERZWA
alemie13@st.amu.edu.pl

wanych przez trenera młodzieżowców. Hiszpański trener wykonał zadanie. FC Barcelona dzięki niemu wróciła na właściwe tory i ponownie zaczęła przynosić radość swoim kibicom.

Przebić sufit

Xavi zapowiedział, że wraz z końcem rozgrywek rezygnuje z roli trenera Dumy Katalonii. Aktualny sezon rozgrywany jest pod znakiem kontuzji i braków kadrowych. Mimo że drużyna pnie się w górę w ligowej tabeli, to na boisku czuć brak pomysłu na grę. Menadżer stara się znajdować rozwiązania, aczkolwiek po naprawieniu jednego niedociągnięcia pojawiają się dwa kolejne defekty. Śmiało można stwierdzić, że Xavi się wypalił. Nic dziwnego – ten projekt kosztował go wiele czasu, zdrowia i emocji. Hiszpan podjął się zadania niemożliwego do wykonania, jednak udało mu się wyprowadzić FC Barcelonę na prostą.

Niestety jego doświadczenie i wiedza o funkcji trenera są zbyt małe, żeby pomóc drużynie wejść na wyższy poziom. Dobrze czuł się w roli underdoga, gdyż jemu wybacza się popełniane błędy. Teraz ustabilizowany zespół musi znaleźć fachowca, który na europejskiej piłce zjadł zęby. Szkoleniowca obytego w wielu klubach, na różnych poziomach rozgrywkowych. Oczywiście nowy trener powinien mieć charyzmę podobną do Xaviego, ponieważ drużyna nie wytrzyma kolejnej terapii szokowej – następca musi dogadać się z obecną kadrą. Zaletą byłaby również instrukcja obsługi Roberta Lewandowskiego dla wykorzystania wszystkich jego atutów z zyskiem dla zespołu.

Ze względów finansowych Laporta wybierze trenera będącego aktualnie bez klubu. Najbardziej racjonalną opcją pozostaje Hansi Flick zdolny przebić sufit wyznaczony przez Xaviego.

Filip SZYMKOWIAK
filszy10@st.amu.edu.pl



Duma Katalonii marzy o powrocie na Camp Nou

„Celem jest budowanie absurdu i bawienie się formą”

Nazywają siebie „najbardziej profesjonalizowanym, amatorskim klubem piłkarskim w Poznaniu”, plakaty z ich wizerunkiem są porzucane na całym WNPID. O tym kim są „Chłopcy z Moraska”, dlaczego założyli drużynę piłkarską i postanowili nazwać ją „Clickbajt” oraz jakie są ich cele i plany na przyszłość opowiedział nam dyrektor sportowy drużyny – Dominik Łosoś.

Skład drużyny to w większości studenci drugiego roku dziennikarstwa, redaktorzy telewizji studenckich. Dlaczego właśnie w lutym zeszłego roku zdecydowaliście się na założenie drużyny piłkarskiej „Clickbajt GP”?

To była spontaniczna decyzja. W październiku po przyjęciu na studia spotkaliśmy się z większością chłopaków pierwszy raz w WF-ie, złapaliśmy kontakt i zaczęliśmy co jakiś czas spotykać się na orliku. Po zimowej sesji spotkaliśmy się pierwszy raz w składzie, który zaczął być „trzonem” przyszłej drużyny, założyliśmy fanpage na Instagramie i opublikowaliśmy pierwsze wspólne zdjęcie. Od tego momentu postanowiliśmy, że zaczynamy działać na poważnie. Była to dla nas przede wszystkim forma rozrywki i nauki. Gdybyśmy grali w piłkę tylko dla siebie, nie byłoby w tym nic wyjątkowego, może pokopalibyśmy w jakiś weekend na orliku, ale teraz możemy zrobić coś takiego, co będziemy wspominać za kilka lat. Nasz medialny obraz urosł w maju zeszłego roku, gdy poczuliśmy, że mamy duży potencjał ludzki i możemy go wykorzystać. Jest to naprawdę budujące, że w rok udało się zbudować tak fajną i zaangażowaną społeczność.

Koledzy od początku podchodzili do pomysłu założenia drużyny z entuzjazmem?

To był proces, na początku nie każdy „kupił” pomysł, że będziemy drużyną piłkarską. Wielu się dziwiło, co ja robię, co ja wymyślam. Tak naprawdę finał z „The Naturatem” był momentem przełomowym. Zagraliśmy na dużym boisku na Morasku, a do samego wydarzenia zorganizowaliśmy specjalną otoczkę – odprawę, wcześniej konferencję. Stworzyliśmy niesamowity „hype”. Nieważne, że przegraliśmy, ale poczuliśmy się jak piłkarze, to było takie przeżycie, którego nikt wcześniej nie doświadczył. Zagraliśmy przy sztucznym oświetleniu, a cały wieczór dostosowany był do nas. To wszystko działa na wyobraźnię i muszę przyznać, że w pewnym momencie byłem naprawdę wzruszony, że wszystko tak dobrze się udało.

Według definicji ze strony kompan.pl – clickbait'em nazywamy odnośniki, które swoim tytułem lub grafiką, zachęcają użytkowników do kliknięcia i przejścia na stronę. Zaskakujący nagłówek ma przyciągnąć uwagę. Skąd wziął się pomysł na taką nazwę? Jak to odnosi się ona do zespołu?

„Clickbajt” to nazwa wzięta prosto z Gatunków Dziennikarskich – z zajęć na pierwszym roku studiów. Omawialiśmy ten temat i stwierdziliśmy, że „clickbajt” idealnie do nas pasuje – chłopcy z dziennikarstwa, drużyna trochę dla żartu. Ten trochę kreskówkowy pudel w herbie też nie jest na poważnie. To wszystko jest robione z dystansem. Chcieliśmy się bawić i zaskakiwać, że możemy robić różne rzeczy, wykorzystując to, co mamy do dyspozycji. A mamy naprawdę wiele, dzięki temu co oferuje nam wydział – znaleźliśmy idealne dla nas miejsce.

Bez problemu udaje wam się znaleźć czas, żeby łączyć ze sobą te wszystkie aktywności ze studiowaniem?

Osobiście fascynuje mnie produkcja sportowa, wszelkiego rodzaju kulisy. To, co powstało to efekt tego, co mnie interesuje. Wybierając się na studia, chciałem zrobić coś, co zarówno ja, ale również cała ekipa, będziemy mogli wspominać jak i nie mieć poczucia straconego czasu. Clickbajt stał się miejscem, gdzie możemy się „bawić formą”. W telewizjach studenckich jest inaczej, gdy robimy odcinek, margines błędu jest dużo mniejszy. Tutaj tego nie ma, po prostu się uczymy i próbujemy praktycznie wszystkiego. Kamera jest cały czas blisko, nagrywa nas, więc jest to dla nas taki dziennikarski „poligon doświadczalny”. Miałem pewne wyobrażenia tego, jak ten projekt może działać i muszę przyznać, że w zasadzie udało się to osiągnąć. Podstawą działania są ludzie, którzy są nie tylko zaangażowani i „zacięci” dziennikarsko, potrafią coś nagrać i zmontować, ale posiadają wiele różnych talentów, które możemy wykorzystać – grają na instrumentach i spełniają się aktorsko. To jest naprawdę ciekawe połączenie różnych ludzi, różnych grup, które działają razem i w jednym celu.

Wasz fanpage na Instagramie i kanał na YouTube prowadzone są w bardzo ciekawy i profesjonalny sposób. Na waszej stronie można znaleźć bardzo wiele memów i



Dyrektor Sportowy i Content Creator Clickbajt GP – Dominik Łosoś

różnych zabawnych grafik. „Hejterzy”, o których często można przeczytać w parodii tabloidów na waszych profilach, mogliby powiedzieć, że przykładacie do nich jak i całej „otoczki” większą wagę niż do wyników.

Wyniki są dalekie od oczekiwań, więc na pewno „obudowa” jest od nich lepsza. Chcielibyśmy wygrywać więcej i dorównać naszemu medialnemu wizerunkowi. Zdajemy sobie sprawę z asymetrii pod tym względem, ale jesteśmy już w takim wieku, że chcąc nie chcąc, piłkarzami już raczej nie będziemy. Taki jest nasz cel – jak profesjonalny klub zorganizujemy konferencję, zrobimy promujący klip z nowymi koszulkami, przygotujemy całą otoczkę wokół zapowiedzi meczu, a gdy przychodzi do tego meczu, jest śmiesznie i żartobliwie. Relacje podczas meczu też są prowadzone w humorystyczny sposób, celem jest pokazanie groteskowości i budowanie absurdu.

Niedawno Amazon wypuścił film o Kubie Błaszczykowskim, a wy od jakiegoś czasu tworzycie serial o Clickbajcie GP. Skąd wziął się ten pomysł?

Na WF-ie często śmialiśmy się, że nakręcimy jakiś serial jak Tottenham kiedyś „All or nothing”, czy chociażby Manchester City. Pierwsze wspomnienie o tym, żebyśmy też spróbowali zrobić to na poważnie, na forum drużyny spotkało się ze sporym zdziwieniem, płukaniem po głowie i pytaniem „co ja wymyślam”. W pewnym momencie jednak postawiłem sobie za punkt honoru, że ja to zrobię i z Miłosem Polakiem, Natalią Szukałą i Maciejem Trzcieskim zrobiliśmy naprawdę kawał dobrej roboty. Może trochę absurdalnie to brzmi, ale tak – zrobiliśmy serial. Nagraliśmy kulisy naszej przygody od początku do końca i jestem z tego bardzo dumny. Myślę, że na tym się nie zatrzymamy.

Od marca zeszłego roku występujecie w rozgrywkach 1. ligi poznańskiej Playareny. Na czym polegają zasady waszego systemu ligowego?

To są rozgrywki, które nie różnią się dużo od tych klasycznych. Łączą różnych ludzi z różnych grup wiekowych, bo w Playarenie można spotkać zawodników w przedziale wiekowym od liceum do panów koło czterdziestki, a nawet pięćdziesiątki. W lidze jest 14 zgłoszonych drużyn, my na ten moment jesteśmy na dziewiątym miejscu w tabeli. Ubolewamy nad tym, że po pandemii ostała się tylko najwyższa liga, bo w zdecydowanej większości zostały tylko te mocniejsze drużyny i cały czas dochodzą nowe. Od razu dostaliśmy się do pierwszej ligi, mimo że jesteśmy średniakiem. Trochę brakuje tego, że nie walczyliśmy o awans, a o utrzymanie, bo na pewno byłoby z tego powodu dużo dodatkowych wrażeń.

Czy mecze z jakimś konkretnym zespołem wzbudzają w was jakieś szczególne emocje?



Nazwa „Clickbajt GP” wywodzi się z wykładów Gatunków Dziennikarskich

Na pewno z Uniwersytetem III Wieku, bo z tego powodu czytaliśmy „Dziady” przed meczem. Był to taki rywal, z którym bardzo chcieliśmy wygrać, a z którym przegraliśmy tak o włos, bo jeszcze pięć minut przed końcem był remis 4-4.

Czy to były „derby”?

Kiedyś śmialiśmy się, że derbowym przeciwnikiem będzie Warka Poznań, bo to był pierwszy rywal, który się na nas „napiął” i próbował podszczypywać, rzucając co chwilę kąśliwymi komentarzami. Na pewno dwie drużyny, z którymi szczególnie chcemy wygrać, to „Przedszkole nr 48” i wspomniany wcześniej Uniwersytet. W zeszłym sezonie jeden mecz z Przedszkolem przegraliśmy 2-18 i bardzo nas to bolało, ale w tym roku zmniejszyliśmy dystans do 2-3, a Uniwersytet też był drużyną, którą nas „złała” niemilosierdzie w poprzednich rozgrywkach. Wierzę jednak, że jesteśmy w stanie z tymi zespołami walczyć, a może nawet i wygrać. Mamy potrzebę udowodnienia tego nie tylko innym, ale też sobie.

Czy w waszej drużynie są zawodnicy, na których skauci, szukający talentów powinni zwrócić szczególną uwagę?

Nasza drużyna łączy różne pokolenia, mamy chłopaków ze szkół średnich, to jest rocznik 2008, jesteśmy my, rocznik 2003, 2004 i jest też kilku niewiele starszych. Ciężko wskazać jedną osobę, która miałaby być jakimś punktem odniesienia, ale myślę, że naszą gwiazdą jest bez wątpienia Mikołaj Szubert – super piłkarz, z którym można wiele zrobić i który ciągnie nas na swoich barkach. Warto też zwrócić uwagę na tych młodszych chłopaków. Odnajdują się na naszym poziomie, ale potrzebują jeszcze trochę czasu, bo siłą rzeczy nie są jeszcze wystarczająco silni fizycznie. Zauważyłem, że fajnie przy nas dojrżeli. Mamy naprawdę masę utalentowanych ludzi i to nie tylko piłkarsko, np. Krzysiu Łączkowski pięknie gra na instrumentach, stworzył muzykę do niektórych fragmentów zamieszczonych w serialu. Nasze wywiady prowadzi Michał Marciniów, który nie gra w piłkę i nie interesuje się sportem, ale przychodzi na nasze mecze, ogląda je i postanowiliśmy go zaangażować jako dziennikarza. Dominik Stachowiak natomiast świetnie komentuje mecze i też go zaangażowaliśmy do pracy. Mamy zdolnych fotoreporterów i staramy się wykorzystać maksimum potencjału wszystkich członków.

Co dalej? Jakie są wasze cele, ambicje i plany związane z tym projektem w przyszłości?

Moim marzeniem jest stworzenie telewizji, takiej telewizji internetowej, trochę na zasadzie działania naszych mediów studenckich. Mam ambitne plany na wiosnę, że będziemy tworzyli dużo treści, które będą się pojawiały regularnie. Bardzo bym chciał kręcić różne dokumenty z wielu perspektyw. Serial był tak naprawdę „załącznikiem”. Szło opornie, ale w pewnym momencie się rozkręciliśmy i widać, że z odcinka na odcinek, to wszystko nabiera rozpędu. Teraz mamy już swoje schematy, wiemy co robić. Moim celem jest też udowodnienie, że się da, że nie trzeba mieć wielkich kamer i maszyn, żeby tworzyć ciekawe treści, wystarczy sama zajawka i wiara w projekt, że sport amatorski może być pokazany w interesujący sposób. Wraz z zaangażowaniem nowych osób, będzie się wszystko coraz bardziej rozwijać. Celem jest oczywiście zdobycie przez nasz wszystkich nowych umiejętności, które będą dla nas cenne pod kątem zawodowym w przyszłości. Z każdym nowym pomysłem nie tylko się dobrze bawimy, ale i rozwijamy.

Dominik JANICKI
domjan17@st.amu.edu.pl